

ORŁĘTA



W DNIU
MIENISZ



WODZA NARODU



WYJŚCIE DZIA 19 MARCA 1932
KORPUS KADETÓW N° 1

MARSZAŁKOWI JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU

TWÓRCY IDEI POLSKI MOCARSTWOWEJ

W DOWÓD CZCI I ODDANIA

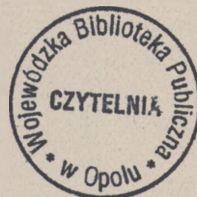
PRACĘ SWĄ POŚWIĘCAJĄ

LWOWSCY KADECI

19. III. 1932.

ORLETA

CZASOPISMO KORPUSU KADETÓW NR. 1 WE LWOWIE

*Kdt. TADEUSZ BAJDA-SOBOLEWSKI***Kolekcja
Emila Kornasia**

TRYUMF IDEI

Bardzo wiele było najrozmaitszych programów politycznych na kilka i kilkanaście lat przed wojną, które miały na celu oswobodzenie kraju z niewoli. Nie można odmówić najlepszych chęci ludziom, którzy te programy tworzyli i w życie wprowadzali; szli oni rozmaitemi drogami do tego samego celu. Jednak wartość tych poczynań, ich siła żywotna była zbyt drobna, aby mogła do zamierzonego celu doprowadzić. Albowiem niczem byłoby kierowanie już samą tylko akcją bojową, gdyby przedtem nie trzeba było ludzi do tej akcji przygotować i umocnić na duchu. Tego już nie dokona żaden program polityczny, który posiada tylko siłę demagogiczną najczęściej. Do wzbudzenia ducha, do ukazania narodowi drogi do zwycięstwa konieczną jest idea.

Idea — to słowo zaczarowane. To słowo, które potrafi ludzi prowadzić do największych poświęceń, do samozaparcia i całkowitego wyrzeczenia się wszelkich dóbr moralnych i materialnych, szczęścia i osób bliskich. Ona daje tę zdolność poświęceń i umacnia na duchu, każąc nie baczyć na największe niebezpieczeństwa.

Myśmy otrzymali w spadku wielką ideę, która od nas nie wymaga poświęceń tak wielkich. Wówczas, gdy ona powstała — trzeba było za nią umierać męczeńsko, wyrzekłszy się przedtem wszystkiego, co daje osobiste szczęście.

Dziś — mamy ideę tę samą, która każe nam wyrzec się tego, co dla nas w czasie pracy państwowej szkodliwym być może. Każe nam ona pracować zgodnie, pod jednym kierownictwem, rozszerzać i umacniać jednolitość myśli i pojęć. Bez tej jednolitości myśli i pojęć będziemy zawsze albo targowiczami, albo istotami bezdusznymi; nie potrafimy

swych wysiłków nigdy skoordynować ku jednemu, wielkiemu celom.

A rozpraszać się nam nie wolno. Cel jest jeden i ku niemu iść musimy, choć droga nieraz będzie niewygodna i trzeba się będzie przerażać przez gąszcz najgorszych naszych wad i rwać przed sobą z móżdżem chwasty przesądów i podłości ludzkiej.

Idąc służyć w szeregach armii wiemy doskonale, że czeka nas nie tylko bój z nieprzyjacielem zewnętrznym. I wewnątrz kraju czai się nieprzyjaciel: a to jest niskość instynktów ludzkich, niezdolność do jednolitego myślenia i chęć użycia bez względu na dobro państwa i kraju.

Z tym jednak nieprzyjacielem potrafimy walczyć i w czasie pokoju. Obce nam są wszelkie względy polityczne: jako żołnierze nie możemy wglądać w tajne arkana demagogicznego władania tłumem. Obce nam są wszelkie programy faszystowskie, komunistyczne, demokratyczne i inne; my nauczymy obywatela polskiego stać w szeregu i słuchać wyższej racji, wynikającej z potrzeb państwowych. Dla nas ideałem obywatela jest karny żołnierz; tej dyscypliny musimy nauczyć cały naród. Dyscyplina wprowadza najlepszą zgodność pojęć — a to jest przeciwieństwo samowoli, która nas zgubiła.

Kładziemy podwaliny pod nowe życie, pod życie człowieka nowych czasów, patrioty nowej Polski. Będzie go cechowała stalowa nieugiętość zasad i zdolność konsekwentnego postępowania nie tylko w stosunku do wroga zewnętrznego, ale także i w stosunku do własnego państwa oraz zagadnień z nim związanych. Jasność poglądów, zdobyta w ten sposób, umożliwi nam nie gmatwanie się w zawitych koncepcjach politycznych, ale wykreślenie sobie jednej

wspólnej drogi prostolinijnego działania w kierunku umocnienia budowli państwowej i rozbudzenia w niej tej siły żywotnej, która umożliwia pokonanie wszelkich trudności nietylko natury moralnej, ale i fizycznej.

Stąd pochodzić musi ta zdolność samorządzenia. Nie bądźmy fantastami i nie chcemy zawiele: przyszłe pokolenia, przez nas wychowane, dokończą budowlę i wskażą drogę pokoleniom następnym.

Zaświtała nam, dojrzała już w nas wielka, święta Idea. Nie powstała ona z mrzonek młodzieńczych: swoją siłę i moc życiową wykazała już w boju wszechświatowym, wspierając garstkę nędznie uzbrojonych szaleńców i pokazując im drogę najprostszą wśród powszechnej zawieruchy.

Nam ta właśnie Idea zaimponowała, tej Idee całą duszą chcemy służyć. Jeśliby nas ktoś spytał:

dłaczego? — poprowadzilibyśmy go na pobojuwiska legionowe i opowiedzieli to, co nam uczestnicy tych walk szaleńczych przedstawiają. Bo nas młodych nęci ów romantyzm bojowy, owo szaleństwo poświęcenia i potęga samozaparcia. Bo nam te słowa do duszy przemawiają, które wśród burzy wypowiedziane, wskrzesiły mit wielu pokoleń: wolną niepodległą Ojczyznę.

Dlatego najwznioślejsze uczucia w duszach naszych budzi Imię Józefa Piłsudskiego, który był równocześnie i duchem i mózgiem owej garstki, dzięki której możemy dziś żyć w wolnej i potężnej Polsce. A nie mogą się mylić dusze młode, wychowane w trzeźwości poglądów: do nich przemawia tylko to, co piękne i żywotne, co wielkie i święte.

Kdt. TADEUSZ BAJDA-SOBOLEWSKI

DEFILADA

Dźwięk trąbki srebrzysty, dźwięk trąbki w dal płynie
I w dali, w oddali odbija się echem
I ginie.

I z dali, z oddali srebrzystym znów śmiechem
Na skrzydłach z błękitów dalekich powraca

I piosnkę swą kończy, rwie —
— Idą.

RAZ, — DWA, — RAZ, — DWA — głu-cho grzmi
bruk.

Gro-źnie lśni stal, groźny stuk nóg,
Pa-trzą w dal, jak stal har-tow-ni.

Jakby z boku przypasali
Miecze stare, ciężkie główne.

O! Uniesień pełne chwile!

O! Poezjo młodych lat!

Wielobarwne ćmy, motyle

Leżą u stóp naszych, w pyle —

— Sentymentu ścięty kwiat...

— Słyszysz głuchy stuk, ten stuk?

Patrz jak groźnie błyska stal!

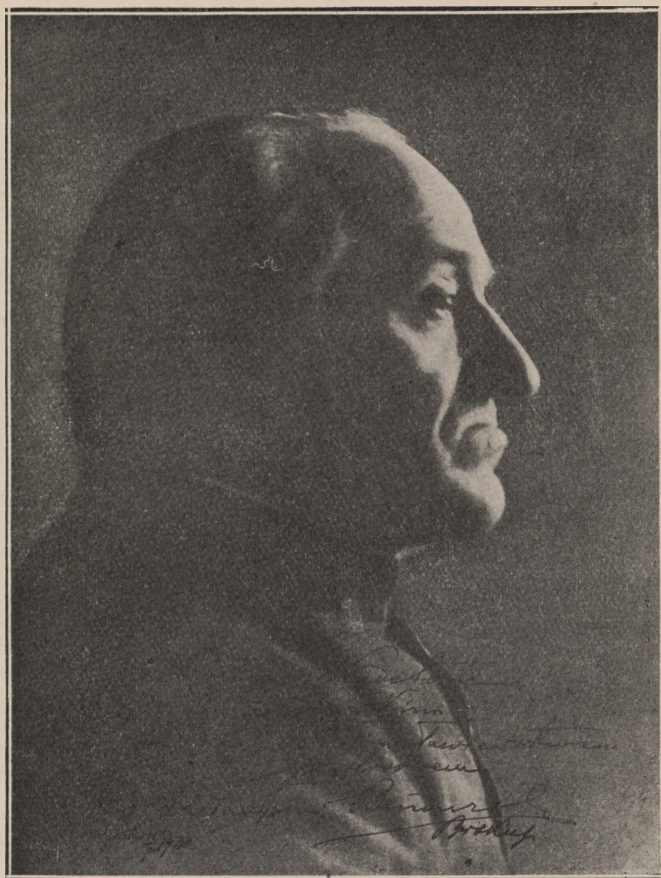
RAZ — DWA — RAZ — DWA grzmi, grzmi bruk —

— Iść tak, choćby w śmierć, choć w noc,

RAZ — DWA — RAZ — DWA patrzeć w dal

I czuć swą stalową MOC.





Ranek 7. III. 1932 przyniósł nam wieść o śmierci Twojej.

Widzieliśmy łzy w oczach najtwardszych oficerów, pamiętających Cię z Polskiej Góry — Leśniewki — Karasina.

Lecz — nie damy żałobnej obwódki dokoła Twojej podobizny.

Tyś — nie umarł!

Jak dawniej, tak i dziś duch Twój unosi się nad nami, jak dawniej, tak i dziś patronujesz nam potęgą Twego żarliwego serca.

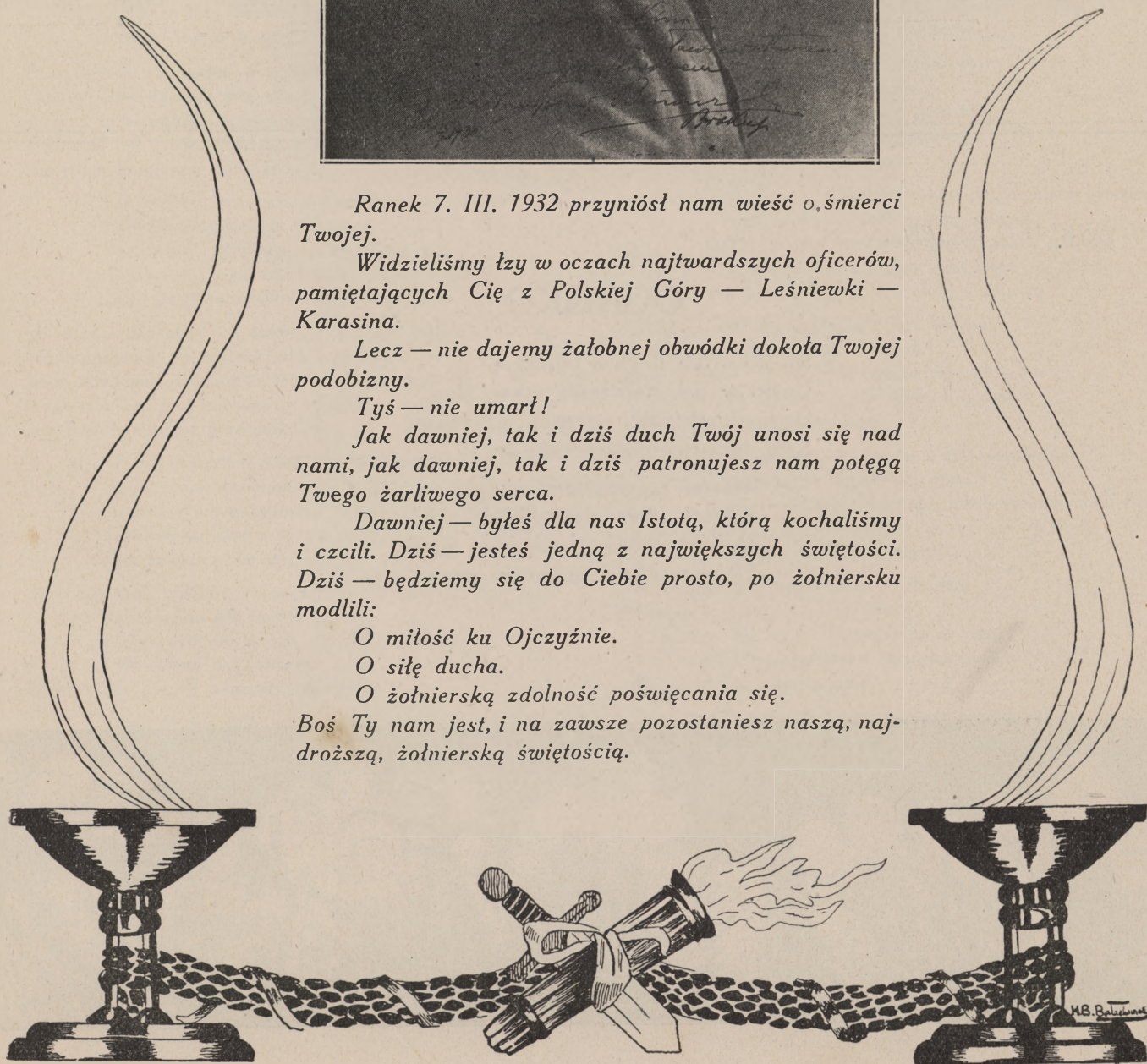
Dawniej — byłeś dla nas Istotą, którą kochaliśmy i czcili. Dziś — jesteś jedną z największych świętości. Dziś — będziemy się do Ciebie prosto, po żołniersku modlili:

O miłość ku Ojczyźnie.

O siłę ducha.

O żołnierską zdolność poświęcania się.

Boś Ty nam jest, i na zawsze pozostaniesz naszą, najdroższą, żołnierską świętością.



POŻEGNANIE

Nadchodzi dzień, w którym przyjdzie się nam pożegnać z Wami, Koledzy. Nasz rocznik stoi już na progu właściwego życia, zawodowej pracy ku pożytkowi kraju. Żegnając Was, żegnamy już właściwie barwne lata młodości, aby wejść w krąg życiowej szarzyzny, wciągnąć się do tej ciężkiej służby, w której odpoczynek nie istnieje. Spędzamy ostatnie tygodnie wśród Was i wśród murów korpusowych, z którymi tyle najrozmaitszych wspomnień nas łączy. Lecz, gdyby nas ktoś spytał, czy chcemy jeszcze raz do nich powrócić, jeszcze raz od początku zacząć życie w Korpusie — gromko odpowiedzielibyśmy: nie.

Przed nami — szara zasłona. Za nami — najbarwniejsza część żywota... Dlaczegoż więc — pytacie — tak stanowczo idziemy naprzód? Dlaczegoż nawet w największej tajemnicy nie zapagniemy powrotu do tych lat?

Bo za tą szarą zasłoną czekają na nas purpurowe świty, czeka na nas spełnienie promiennych marzeń młodości. Do realizacji tych marzeń, przedzieramy się przez ową szarą zasłonę, która niejednego na zawsze potrafi zatrzymać. Idziemy naprzód niezwydzeni, nieugięci, zbrojni młodością ufnością w swe dojrzewające siły. A w dłoni mamy — karabin. Bośmy nie fanteści, bo wiemy, że w życie trzeba tak iść, jak do szturmów...

Żegnamy więc Was mocnym, braterskim uściskiem dłoni. I wyznajemy; trudno nam jest rozstać się z Korpusem. Pięć lat najpiękniejszych przeżyć, opromienionych aureolą wczesnej młodości! Nie brak tu wspomnień najszlachetniejszych i najwznioślejszych, nie brak tu wspomnień drobnych napozór, a tak miłych. I wiemy, że to wszystko minęło już i nie wróci...

Lecz — nabok sentymenty. Idźmy naprzód, twardo i nieustępliwie.

Kdt. EDWARD ESSEN

OGNISKO...

Na kominku dogasa ognisko,
Cicho w dal srebrzyste mkną skry,
Gwiazdy zbladły, poranek już blisko,
Któż tężowe powróci mi sny?

Wśród zygzaków złocistych płomieni
Co tak jasno dziś złocą mi skroń,
Pośród zdrady, niewiary i drwin
Chcę zamienić marzenia me w czyn!



QUID.

NA GRUZACH MELSZTYNA

BALLADA

Jak krzywa klinga damasceńskiej stali
Ciemnym połyskiem Dunajec się mieni,
Wężową wstęgą wiję się w oddali
Szumi w wiklinach i gniewnie się żali
Na ostre progi z kamieni...

Ze szczytu góry i stromych uboczy,
Patrzą nań ruin zamkowych Melsztyna
Tysiącoletnie nieruchome oczy,,
Cicho, podstępnie czerw wieków je toczy,
Nocą zamyka mgłą sina...

Kto tęsknić umie, kto serce otworzy,
Kto dziś zapomni o żyjących tłumie,
Niech na zamkowych progach głowę złoży
I słucha pieśni... Wśród czasów bezdroży,
Wiele zobaczy, zrozumie...

Jak pierwsza myśl zdrady, jak dusza Kaina
Jesienna noc czarna i głucha,
Czarniejsze od nocy dworzyszcze Melsztyna,
I groźne jak rozpacz gdy Boga przeklina
I ciche jak Bóg, gdy jej słucha...

Przy świetle pochodni, w podziemiach podwórz
Ucztuje dworzyszczu pan stary,
A przy nim druhowie milczący, ponurzy,
I dzwoni jak groza co kryje się w burzy.
Spełniają kamienne puhary.

Już kończy się uczta, na groźne wezwanie
Pachołków zniknęła czerada.
Pan mówi: „Niczysza tu stopa nie stanie.
Bez trwogi opowiedz wieść twoją kapłanie.
Nikt siwej twej głowy nie sprzeda!”

„Koniądzu Melsztyński, śmierć moja jest bliska,
Mnie podsłuch zdradziecki nie trwoży!
Lecz straszna wieść moja krew ludzką wyciska!
I spadnie na tyny twojego grodziska
Jak białokamienny grad boży!

W dąbrowach i gajach świętego podgórze
Znów nasze podniosły się bogi.
A gniew ich przemożny znów niszczy jak burza!
I głowę ognistą z za lasów wysuwa!
Sąd ludziom okrutny i srogi.

Moc czarnych wisielic, co zowią się krzyże,
U stóp Światowida już leży!
Przed świątyn progami krew mnichów pies liże!
I mściwa Marzanna wstąpiła na niże,
Strażniczka puszcz naszych rubieży.

Boginek rój złoty powrócił z wygnania.
Złud jasnych wróciły tumany.
I blasku bożego już nic nie zasłania!
I gaj święty pełen radości, kochania!
Wróg szczęścia już w prochu zdeptany!

...Już wieki minęły... Na gruzach Melsztyna
Wciąż czeka dworzyszczu pan stary...
Gród runął, choć błyszczy krzyżami dal sina
Lecz mściwa Marzanna już zbierać zaczyna
Bożemu blaskowi ofiary...

Lecz słuchaj koniędzu... Na czchowskiej granicy
Ostała się jeno ruina!
Tam mord wnieśli boga nowego zbójnicy!
I Mieszko krakowski w niemieckiej zbroicy!
Toporem rozszepił Ci syna!!

Twe żony i córki w koszuli pokutnej
Zakuto w żelaza obroży!
I pognął je biczem, mnich czarny okrutny
Na zemsty ofiarę, na cześć dumie butnej,
Do nóg wawelskiego wielmoży.

Nie siłą, nie walką twardego oręża
Twój czchowski gród wzięli wrogowie!
Bóg nowy dziś złotem i zdradą zwycięża!
Koniądzu! Tak blisko przy piersi masz węża —
Twój brat z nowym bogiem jest w znowie!!“

Już skończył ponurą swą wieść kapłan boży
Gasnące ściemniały pochodnie....
A w mroku i ciszy czyn straszny się tworzy.
I zda się szczęk słychać toporów i noży
Ostrzonych na bogi zachodnie...

Zadrzały podgórskie ubocza i szczyty
Młot piersi ich twarde przecina,
Na linach konopnych wędruje głaz lity,
I pełźnie po drodze dębami pokrytej
Na ostry częstokół Melsztyna.

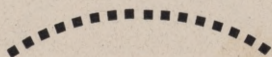
Znów koniędz Melsztyński w podziemiach grodziska
Przed zdradą z druhami się chowa,
Lecz światło pochodni dziś krwawo połyska
I straszny tam świadek przygląda się zbliska
Na krzyżu zdradziecki woj Czchowa.

„Kapłanie Mrazanny, mój ołtarz gotowy
I trwalszy niż Mieszka Wawe!e!
Nie dotknie już topór katowski mej głowy!
Ni starczych łez moich nie ujrzy bóg nowy
W żałobnym wisielic kościele!

Lecz cicha myśl moja, a łyzy skamieniały
I piętrzą się teraz nad nami!
Już płonie dworzyszcze! nim wstanie dzień biały,
Niech runą na zdrajcę te łez moich skały,
I zemsta nad jego bogami.

Widziałem jak boga nowego kapłani
Budują kościoły z kamienia.
Kamienne łyzy moje zostawię im w dani!
Niech mury budują przez Mieszka naślani
Dziedzice mego imienia.

Głaz trwałe, lecz trwalsze przekleństwo jest moje!
A ból mój mocniejszy niż mury!
Ja zemsty czerwienią grodzisko ustroję!
Nie umre aż padną kamienne ostoje
I bóg ich żałobny ponury!”



Kdt. *ANDRZEJ CZAYKOWSKI*

PRZEDWIOŚNIE

Dużo słońca. Niebo bez chmurki.

Moja aleja już się obudziła z tylomiesięcznego snu.

Brudne plamy śniegu coraz mniejsze i mniejsze.

Pachnie rozmokła ziemia, pachną drzewa nie pokryte jeszcze pąkami.

Idzie wiosna.

Tyle już wiosen pamiętam i z każdą inne wiąże się wspomnienie.

— — — — —
W pogodny, cichy wieczór wiosenny długi pociąg towarowych wagonów wtaczał się powoli na most kolejowy na Wiśle, zdążając resztą swych sił z dalekiej drogi ku Warszawie.

Niebo granatowe, wyiskrzzone setkami gwiazd i gwiazdeczek. — Nad Warszawą luna świateł.

Dudni most pod posuwającym się wolno pociągiem. Wagony towarowe z drzwiami szeroko poruszwanymi — pełne ludzi. To repatrjanci.

Wsryscy wpatrzeni w mrugające światłami zarysy miasta.

Pod miastem szumi Wisła.

W wagonie cisza — nawet zawsze skomlące niemowlęta i rozbeczane, głodne, małe dzieci umilkły. — Starszy pan nie gdera na stukot kół, ani chora nie majacze w gorączce.

Wszyscy patrzą w nabożnym skupieniu.

Ktoś głośno powiedział — „Wisła... Warszawa“.

Odpowiada mu stłumiony szloch.

Płaczą wszyscy. Płaczą panowie, którzy od wielu dni i wielu, wielu godzin przerwali po raz pierwszy swego winta, płacze starszy gderający pan, płacze w kącie „tępłuszki“ chora kobieta. I ja płaczę; choć bardzo nie wiem dlaczego, ale czuję, że chwile tego wiosennego wieczoru są bardzo piękne i coś mnie ściska za gardło.

Dobrze pamiętam ten wieczór wiosny 1918 roku.

— — — — —
Dni wiosny policzone.

Upalne lato zbliża się prędko i choć połowa maja ledwo minęła, słońce rozrzaża bruki wolnej już stolicy.

Na ulicach tłumy. Cała Warszawa wyległa by wziąć udział w dziejowych uroczystościach jakie mają dziś nastąpić.

Wzdłuż jezdnii mur ciekawych, którzy od wczesnego rana rezerwują sobie miejsca, by nie opuścić ani jednego momentu wielkiego dnia.

— Tędy będzie przejeżdżał, tędy napewno!!

Z szumem przemyka parę aut.

Stoimy wszyscy na obszernym balkonie.

My dzieci na przodzie.

Pod nami mrowie ludzkie.

Białe i kolorowe suknie pań i dziewczynek, jasne ubrania panów.

„Mamusiu, jaka śliczna parasolka w kwiaty“.

„Dzieci nie wychylajcie się“.

— Jedzie! zakolysał się tłum — jak iskra po drucie biegł szept. — Jedzie! Jedzie!

Od Aleji Ujazdowskich podmuch wiatru niósł entuzjastyczne okrzyki: — Niech żyje! Niech żyje! Wszyscy skamienieli wpatrzeni w perspektywę ulicy.

Kłusem przeleciał, krew na otokach czapek i chorągiewkach swych lanc niosący szwadron.

Od Wiejskiej, z przed gmachu Sejmu odezwały się fanfary.

Wspiąłem się na balustradę balkonu.

Objęły mnie trwożnie czyjeś ręce i twarz Matki przy swojej poczułem twarzy.

„Patrz synku, tam jedzie człowiek, który Polsce wolność i niepodległość wywalczył. — Kochaj go — patrz, tej chwili nie wolno ci zapomnieć“.

— Nie zapomniałem Matko.

Cztery śnieżne beselerowskie araby rwały za sobą odkryte lando.

Siedział w nim, ze swym adjutantem. „człowiek, który wywalczył Polsce wolność i niepodległość“, zwycięski wódz z pod Kijowa.

Jechał otworzyć pierwszy Sejm Odrodzonej Rzeczypospolitej.

Fanfary dolatujące z przed bram Sejmu zgłuszyły entuzjastyczne wiwaty Warszawy.

Lando oddalało się szybko.

Żal mi było, że go już nie widzę.

Kłusem przeleciał, krew na otokach czapek i chorągiewkach lanc niosący drugi szwadron.

„Mamusiu dlaczego tak płacze ten siwy pan tam w oknie?“

— „On jest bardzo szczęśliwy synku“.

I nie wiem dlaczego pomyślałem sobie, że widocznie wszyscy tak kochają Dziadka jak ja...

— — — — —
Tyle potem przeszło wiosen.

Tyle razy przekwitały jaśminy i bzy.

Tyle się we mnie zmieniło.

— — — — —
Jednego roku przyszła wiosna, później niż zwykle, ale z żywiołową siłą budziła naturę do życia. Budziła śpiące lasy i pola, rzeki i strumienie, dusze i uczucia...

Wyszliśmy na pierwsze po zimie ćwiczenia.

Kompanja tłukła okutymi butami kamienie drogi, śpiewając całą pierśią.

Śmiał się do nas cały świat...

Chwilowy odpoczynek.

Leżę na wznak na ziemi, zakurzoną, spoconą
gębę wystawiając do słońca. — Hełm zsunął mi się
na kark, grzbiet gniecie tornister i puszka od maski.

Nie ruszam się jednak — jest mi dobrze.

Myślę często o Tobie, ale teraz jakoś inaczej.
Czuję, że Cię kocham.

Jest mi szalenie wesoło — całowałbym tę wil-
gotną ziemię i zimną lufę leżącego obok karabinu
i wiszące nademną słońce.

Tyle nadziei wlewasz wiosno!

— — — — —

Do książki mego życia wiele przybyło kart.

Nadchodzisz znów radosna wiosno.

Czy z tobą przyjdzie szczęście?...



Kdt. HENRYK BUŁAK-BAŁACHOWICZ

PŁYNIE SMUTEK

Płynie smutek z przestrzennej gdzieś dali
Jak ten polip wyciąga ramiona
I mackami oplata me serce,
Co w uścisku tym słabnie i kona...
— Dusza płacze, po stracie się żali
i zamyka się w smutku iskierce.

Gdzie ta młodość bezstroska wiosenna?!
Gdzież te sny nieprzespane w marzeniu?!
Gdzie ta pieśń, co wśród ciszy przebrzmiała?!
Wszystko zgłiszcza — na stosie, w płomieniu,
Wszystko zgasło, ponura noc ciemna.
— A ja szukam wciąż — tej co kochała...

Wiatr za oknem złośliwie harcuje,
Drzewa chwieją się, skargę śląc w szumie —
Myśl potworna w mej czaszce się rodzi:
— Czoło chylę w tej niemej zadumie
I pytanie w mej głowie wiruje —
— Któż mi ból ten ukoi, złagodzi??



„LAZZARONE“

KWIECIARKA

Dziś, kiedy szedłem długą, moką ulicą zastąpiła mi drogę mała, zziębnięta kwieciarka. Oczy jej były błękitne niby wiosenne niebo, a szara, podarta sukieneczyna koloru błota na chodniku, w którym dreptały jej bose, małe stopy. Zziębnięta, mała kwieciarka w zsiniałych rączkach trzymała wiosenne kwiaty. Miała ich pełny koszyk. Pełny koszyk bukiecików, z sasanek, przyłaszczek i fiołków. Nie kupiłem ich.

Więc mała dziewczynka odeszła odemnie kamiennym, mokrym chodnikiem.

Leżałem nawznak na mokrej, ledwo odtajalej ziemi i oczy moje gonіły białe, lekkie obłoczki, bez trosko biegnące po niebie, niby małe pańskie dzieci po alejach parku, wypuszczone po raz pierwszy na wiosnę z ciasnych mieszkań.

Słońce, wielkie, złociste słońce, rzucało poprzez gałęzie kaskady szczerzłotych promieni, które się w kropelce rosy załamawszy, padły na moje oczy deszczem strzał brylantowych.

Przestałem patrzeć na niebo, i z płatka białej sasanki wypilem kropelkę rosy.

I wówczas, — wierzajcie mi — wówczas dusza moja, taka zwykła, szara, obłożona dusza człowiecza, stała się białą i usiadłszy na płatku sasanki, była tak przejrzysta, jako ta kropla rosy wiosennej, którą wypilem.

Nachyliły się nad nią fiołki i błękitna przyłaszczka, i całowały duszę moją miękkimi wargami swych płatków i tuliły się do niej i pieściły ją.

Wtedy, — z pośród gałązek barwinka, z pomiędzy ząbków listka poziomki, wyleciała na szafi-

rowych łątki skrzydłach, zielona przejrzysta Wiosna i brzękiem muszki maleńkiej zanuciła duszy mojej:

Jesteś nasz, jesteś nasz, o kochanku
Co wypileś kropkę rosy jedną,
Co się pieścisz w kwiatków moich wianku.
Złóż w me ręce swoją duszę biedną.
Złóż swą duszę, w te ręce kochanki.
Spiesz się drogi, bo zorze już bledną,
Ja w kielichach fiołka i sasanki
Skryję miły, twoją duszę biedną.

A dusza moja zadrżała i po płatkach mięciutkich spłynęła w kielichy kwiatów.

Dziś znowu spotkałem małą, zziębniętą kwieciarkę. Oczy jej były błękitne, niby wiosenne niebo, a szara, podarta sukieneczyna koloru błota na chodniku, w którym dreptały jej małe bose stopy.

Zziębnięta mała kwieciarka w zsiniałych rączkach trzymała wiosenny bukiet.

Był to ostatni bukiecik.

W pustej kobiałce, nie pozostało już nic, prócz mokrej, podartej szmaty, i kilku złamanych gałązek barwinka.

Bukiecik był marny, zmięty i ubogi, bo ledwie trzy kwiatki sterczały zpośród zieleni wielkich liści fiołka.

Trzy były tylko kwiatki — sasanka, przyłaszczka i fiołek.

Co chcesz za nie kwieciarko?

Dziesięć groszy mój panie, marne dziesięć groszy.

A dusza moja zadrżała i po płatkach mięciutkich spłynęła w błoto ulicy...

Kdt. MARJUSZ KWIATKOWSKI

ZMROK

Ponury, smutny-zmrok zapada.
Ponure, smutne tworzy cienie,
Nawet się w serce, w duszę wkrada
Ponury smutny zmrok...

A w serce razem z mrokiem
Tęsknota wielka spływa
I w sercu mem trzepocze,
Coś dalekiego przyzywa,
Coś co tajemne, nieznane,
Coś czego brak mi stale,

Coś co mi tak jest kochane,
Coś co spokoju nie daje.
Lecz zmrok całunem mglistym
Nieznane „coś“ okrywa,
A serce rwie tęsknota
I ciągle „coś“ przyzywa.
Ponury, smutny zmrok zapada,
Ponure, smutne tworzy cienie,
Nawet się w serce, w duszę wkrada
Ponury smutny zmrok...

H. W.

Z MOICH LIRYK

NADZIEJA

Rozmała się kwieciami... Nadzieja! Wiosenny
 śpiew rozbudzonej mocy życia. Jak pachnie...
 Żywicą... Polem... Słońcem... I Tobą...
 Aniołowie grają. Narodziła się we mnie Nadzieja...
 Hosanna! Hosanna! Hosanna!

Wyjdę z palmą na jej spotkanie. Kwieciami za-
 rzucę drogę, dywanami wyściele...

Nadzieja przyszła!

Uroki mej duszy rozświetliła blaskiem jutrzeńki.
 Lśni... Drogę wskazuje, jak gwiazda betleemska.
 Nadzieja...

Przyszła. Bądź błogosławiona... Rozgość się we
 mnie sadem kwitnących jabłoni i wisien. Lśnij...

Jak mi dziwnie lekko. Leżę... Zdaje mi się, że
 ulatuję gdzieś w zaświaty.

Boję się oczu otworzyć, bo może spłoszę wi-
 dzenie... Lecę daleko... Wysoko...

Ziemia umyka z pod nóg. Wokół gwiazdy...

Tysiące...

Miljony...

I księżyc...

Lekko mi w sercu. Płynął smutek. Znikł. Ro-
 zwiął się. Rozpłynął się w rozgwieżdżonej nocy.

Nadzieja przyszła...

Jak pachnie... Żywicą... Polem... Słońcem...
 I Tobą...

Patrz. Skurczył się strach przed życiem. Siedzi
 zgarbiony gdzieś w kącie, z obawą patrzy w jasne
 oblicze Nadzieji... Zmalał.

Wiosną pachnie...

Serce drży radością...

Ręce prężą się do czynu... Hej! Ruszyć bryłą
 świata! Popchnąć ją na nowe tory!

Tak, jak Ty chcesz.

Dla Ciebie...

Boś Ty mą nadzieją...

Rozmało się we mnie. Dlaczego?... pyta się
 ktoś... Dlaczego?

Bo stał się cud...

Nadzieja...

Chcę czynu! Ramiona się prężą...

Życ i mieć Ciebie...

Ja tak chcę!

Nadzieja wiosną we mnie wstąpiła. Rozgościła
 się sadem kwitnących jabłoni i wisien.

Nadzieja — Ty...

Nadzieja — Ja...

Nadzieja — Czyn...

Nadzieja — Świat...

Dziwnie mi lekko i radośnie w sercu. Dzień
 szczęścia... Wiosna...

Kwiaty pachną...

Gwiazdy lśnią...

ZAZDROŚĆ

Przyszła zielonooka i rozparła się we mnie.
 Drwi, szydzi... Czuję jej ciężar.

Gniecie, dusi. Zazdrość podła...

Oplotła mnie szponami zwątpienia, plunęła
 w twarz bladolicym strachem. Ciebie i mnie.

Mami...

Zwodzi złudnemi mirażami.

I syczy: co ona robi... co myśli... co czuje...

Ona...

A ty tu... Ha, ha, ha! Hej-ha! Hi-hi-hi!

Zazdrość. Głupia i dumna zazdrość... Rozparła się
 we mnie brudną kałużą i cuchnie podłością. Sieje
 zwątpieniem w duszę. Malarja...

Gdzie ten nieznany „On“!

Rozhukały się myśli. Pędzą, jak Pegazy... Po-
 twory... Tratują wszystko, biją kopytami w rozpalone
 skronie. A każde uderzenie, to męka...

Cierpienie... Ból... I żal...

Zielonooka brudna zazdrość.

Noc. Jaka długa ta noc... Świt nie przychodzi...
 Z ciemności wychylają się jakieś nieznane twarze.
 Ironicznie uśmiechnięte zbliżają się do mnie...

Twarzą w twarz. Śmieją się... A ktoś ręką wska-
 zuje... patrz to może ten!

Maski...

Mieszą się, kręcą, wirują. Oblakany tan. Ja —
 środek. I głuchy męczący chór:

Może ja... może ja... może ja...

Grają weselnego marsza.

Precz!

Przecieram oczy — wszystko znikło...

Noc. Ciemna. Tajemnicza.

Straszna noc.

Wiatr płacze za oknem. Skarży się. Głucho wyje...

Zazdrość — szatan nie śpi. Drapie pazurami serce.

Ta noc...

Świt nie przychodzi...

Wiatr płacze. Brzęczy w szyby o litość...

Ja nie znam litości... Gdzie ona? Gdzieś ty?...

Maski nieznane... Śmieją się ze mnie...

Ty... Ktoś drwi ze mnie. Naigrawa się.

Boże... oddal odemnie ten kielich... Ty możesz...

Noc bluźni... Serce bluźni...

Wiatr bluźni... A ja chcę Ciebie!

Wiatr cicho za oknem płacze. Łka... zebrze
o litość. Ja nie śpię.

Nademną nikt nie ma litości...

Rozparła się zazdrość bladolica i zielonooka.
Rozparła się we mnie brudną kałużą i cuchnie po-
dłością.

Ja nie mam w sobie winy. Ani ty... Wybacz
mi wszystko...

To zazdrość.

Głupia i bezpodstawna...

Jak ciężką jest ta noc. Noc bez świtu.

Wieczność — — —

A myśli rozchukane biją kopytami w rozpalone
skronie. To tak boli...

Wiatr za oknem płacze.

Straszna noc...

KWIATY

Wciśnięte w ściany kryształu... Piją razem
lekko-mętą wodę.

Bukiet. Mieni się barwami, jak tęcza. Sym-
fonja woni...

Tu dumna róża. Rozchyła płatki czerwone.
Płatki... tak, jak usta krwią pocałunków tęsknych
nabrzmiałe. Dziewica ogrodów... Królewski kwiat...

Mieni się purpurą. Krew...

A tu druga. Biała. Taka czysta, dziewicza...
Jaka nieśmiała...

Wyzywająca czerwień tuli się do jej białych po-
liczków. Splotły się z sobą kolcami, jak kochankow-
wie ramionami. Żyją razem...

Dwie siostrzyce dумы. Krew i biel.

Dwie róże...

A tu... Pęczek fiołków. Taki mały. Fiołek wci-
śnięty w zieleń liści szerokich.

Małe, pokorne, skulone patrzą lękliwie...

Fiołki... Rodzeństwo kwietne...

Spokój płynie od nich łagodną wonią. Fiole-
towe... Liście szerokie zielone...

Pachną...

Niezapominajki niebieszczą się. Patrzą wyzy-
wająco, wesoło. Natrętnie, a mile...

Kochane kwiaty wspomnienia. Takie małe w du-
mie królewskich róż...

A wielkie...

Niezapominajki, Twe oczy też niebieskie...

Wciśnięte w ściany kryształu żyją kwiaty. Piją
razem lekko-mętą wodę...

Kwiaty...

Róże...

Fiołki...

Niezapominajki...

Lubisz kwiaty? To twe siostry. Pachną, tak,
jak Ty. Tak, jak Tve włosy...

A może Ty sama jesteś kwiatem? Może Tve
usta są płatkami róży purpurowej...

Twa dusza może jest różą białą... A oczy Twoje
może są niezapominajkami, co biją wspomnieniem...
A fiołki może są Twą tęskną zadumą w wieczornej
godzinie... Powiedz. Możesz Ty sama jest bukietem?
Tak pachniesz...

Patrz — a tu narcyz... Taki smutny, poważny.
Białymi płatkami patrzy na świat. Taki smutny
narcyz...

Tak silnie pachnie, jakby chciał wonią zwró-
cić na siebie uwagę.

Biedny, biały narcyz...

Małe dzwonki konwalji... Wesołe... Małe... Zdają
się w każdej chwili zadzwonić piosnkę o Tobie.
Piosnkę o miłości...

Konwalje... Dzwoncie, dzwoncie wesoło... Wy
moje...

Dzyn... dzyn... dzyn...

Poruszyły się. Może?... Nie. Cisza...

Jak pachną te kwiaty. Tyś chyba sama jest
bukietem.

Bukiet.

Widać przez kryształ łodygi, zanurzone w lekko-
zielonkawej wodzie.

Różne kwiaty...

Garść polnych kwiatów. Świeże, różnobarwne...

Białe, czerwone, żółte, niebieskie...

Jakie świeże, jakie wesołe. To chyba Twój
śmiejch jest taki?. Zaśmiej się...

Niech Twój głos srebrzysty zmiesza się z wonią...

A może to jest to samo? Może Ty sama jesteś
uśmiechem kwiatów...

Polne kwiaty. Pachną polem, słońcem i Tobą...

A to chyba jest Twój kwiat?...

Irys...

Irys złocisty...

To jesteś Ty... Irys złocisty...

Widzę w nim Ciebie i Twą zadumę i weso-
łość... I uśmiech Twój... I Tve łyzy są chyba tak
samo piękne.

Irys złocisty...

Piękniejszy od królewskich kochanic-róż...

Piękniejszy od fiołków...

...Od niezapominajek...

...Od polnych kwiatów...

Irys wspaniały.

Bawią się kwiaty bukietem, wciśniętym w ściany
kryształu.

Ten bukiet, to chyba Tyś sama?

Powiedz...

Ty tak samo pachniesz...



Kdt. *TADEUSZ BAJDA-SOBOLEWSKI*

ZE WSPOMNIENÍ

Trzy lata temu powziąłem mocne postanowienie zostania sławnym człowiekiem i to najdalej — za tydzień. Mając więc kilka wierszy w kieszeni, zapukałem niebywale głośno do drzwi 5-tej kompanji, gdzie mieściła się redakcja „Orląt“.

A trzeba wiedzieć, że nielada odwagi trzeba było, aby się zdecydować na wejście do uczelni starszej kompanji. Można było dostać godzinę siedzenia w przysiadzie za jakieś nieznaczące uchybienie, np. za poruszenie palcem w bucie bez wyraźnego rozkazu. Tak to było drzewiej. — Hej!

Uczelnia była upstrzona malowniczo rozrzuconymi grupkami kadetów, rozprawiających tak głośno, że na chwilę osłupiałem. Musiałem mieć minę niesamowicie głupią, bo jeden z kadetów zwrócił na mnie uwagę:

— A pukałeś do drzwi? — zapytał więcej, aniżeli groźnie.

— Tak jest, panie kadecie, puknąłem 6 razy.

— Ale ja tego nie słyszałem! Marsz, pukaj jeszcze raz.

Wyszedłem. Chcąc okazać wielką gorliwość w wykonaniu rozkazu, zapukałem do drzwi nawet wychodząc na kurytarz. Wszedłszy poraz drugi, zostałem skierowany do samego redaktora. Ten błysnął okularami, odebrał odemnie papiery i rzekł słodko:

— Wspięcie raz! Przysiad dwa!

I zabrał się do czytania. Śledząc jego twarz, zauważyłem błyski zainteresowania.

— Oho! — pomyślałem krótko i węzłowato. Redaktor przeczytawszy, zwolnił mnie z nieco niewygodnej pozycji i zaintonował:

— Owszem, owszem... wiersze zatrzymuję. Przydadzą się.

Wyszedłem z uczelni. Byłem nieco zdziwiony. Jaki? Więc termin zostania sławnym człowiekiem mam sprolongować? Ha!

Jednak nie miałem czasu na rozmyślanie. Za kilka minut zaczynały się zajęcia. Musiałem nad tak ważną sprawą przejść do nieporządku dziennego.

Ale sprawa nie stała jeszcze tak źle. W kilka dni potem otrzymałem drugą nagrodę w konkursie redakcyjnym za jedną ze swych bazgrot.

— A więc warto było jednak siedzieć w przysiadzie — oto była jedyna i najmańdrzejsza konkluzja, jaka mi się przez myśl przewinęła.

Tak było dawniej. Dziś mamy radiostację krótkofalową, która pełni tę samą misję, jaką niegdyś pełniły same OrleTA. I pomimo, że fale są nieco za krótkie, rokujemy naszej stacji wielką przyszłość.

Radziłbym jednak, dla większego jej spopularyzowania wśród kadetów, zmusić wszystkich do wygłaszania przez jej mikrofon swych utworów. Wówczas każdy będzie z radością zgrzytał zębami, myśląc o tej pożytecznej instytucji. A gdyby ktoś tę akcję zwalczał — wyciągnąć z tego odpowiednie niekonsekwencje. Względnie — powiesić go na antenie dla odstraszającego przykładu dla innych.

Kdt. *EDWARD ESSEN*

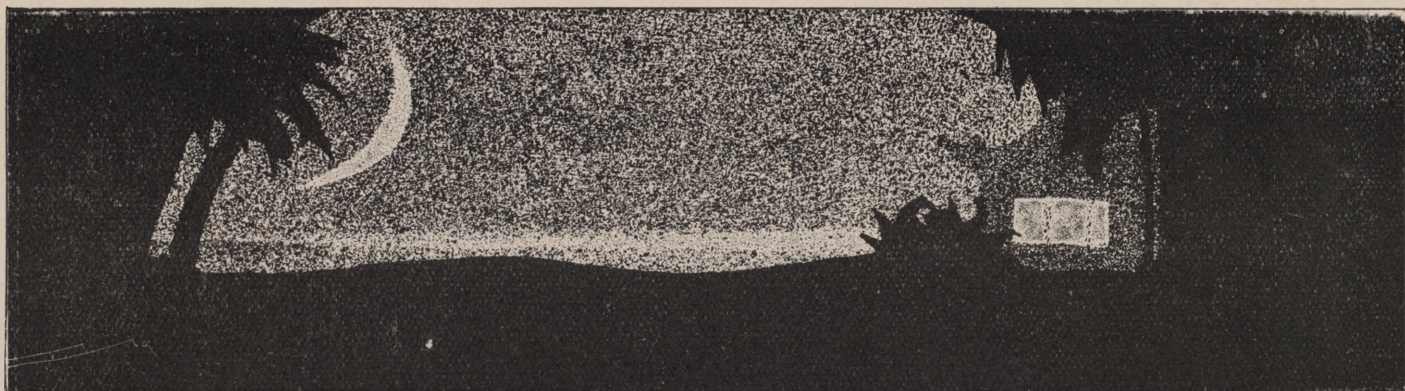
CZAROWNE CHWILE

Tango

W księżycu blasku krople rosy lśnią.
Tęsknotą dziwną serce moje płonie,
Bo ty bez żalu pożegnałaś mnie
Skrywając smutek przytem w serca łonie.

Dziś tyle już minęło długich lat
Tak opustoszał dla mnie już ten świat,
Już nic nie zdoła uszczęśliwić mnie
Bo serce moje pustką tchnie.

Minęły te czarowne chwile
A z niemi przysnął ułudny sen
Miłosnych zwierzeń, marzeń tyle
Umknęło gdzieś, daleko, hen...



Kdt. ZBIGNIEW PIASECKI

CHIŃSKA OPOWIEŚĆ

Lu-O, ta piękna Lu-O, która tak gorąco wyznawała mu swą miłość, teraz patrzyła na niego niemal z pogardą.

I cóż on był winien? Czy to, że był biednym marynarzem? Że nie miał pięknej willi jak Ki-na-czu, który rozkochał w sobie piękną Lu-O?

Tak, Ki-na-czu zabrał mu Lu-O, ale on... Sin-Szen zabierze im to, co mają najdroższego...

Tak myślał biedny, chiński marynarz, siedząc na pokładzie szkunera, zdążającego do Singapore. Wtem przed Sin-Szenem stanął kapitan statku i zawołał go po imieniu. Podniósł głowę. Oczy błyszczały mu niesamowitym blaskiem, twarz miał wykrzywioną boleśnie, usta zacięte złowrogo. Patrzył chwilę na kapitana. Starał się uśmiechnąć, lecz uśmiech jego był raczej bolesnym skurczem twarzy.

— Sin-Szen, co ci jest? — spytał kapitan.

— Nic, kapitanie — zostawiłem w Lai-Czau narzeczoną, i tęskno mi do niej.

Kapitan wzruszył ramionami i odszedł.

Gdy po dwóch miesiącach Sin-Szen zjawił się w Lai-Czau, zastał Lu-O... żoną Ki-na-czu. Szkuner stał w porcie cztery dni, celem zabrania ładunku ryżu. Na przeciąg tego czasu Sin-Szen dostał urlop.

Jednak czwartego dnia nie wrócił na pokład szkunera, a gdy ten odpłynął, Sin-Szen począł śledzić Ki-na-czu.

Ki-na-czu mieszkał z żoną w pięknej willi, w pobliżu małego lasku bambusowego, przez który wiodła ścieżka do miasta.

Z drugiej strony willi rozciągał się widok na morze.

Sin-Szen stawał w cieniu lasku i godzinami wpatrywał się w willę Chińczyka.

Czasem widział służących Ki-na-czu, niosących z miasta kosze z owocami.

— To dla Lu-O — myślał wtedy, chowając się w głąb lasku, aby nie być dostrzeżonym.

Czasem widział samą Lu-O, jak wychodziła z domu, i szła na brzeg morza. Tam stawała i przysłoniwszy ręką oczy przed słońcem patrzyła w dal.

Wtedy zaciskał pięści, oddech stawał się szybki, nierówny, a oczy błyskały mu jak dzikiej bestji.

Był wieczór. Księżyc świecił jasnym blaskiem, rozciągając na ziemi długie cienie.

Morze szumiało swą smętną, monotonną pieśń.

Sin-Szen siedział na skraju lasku oparty o pień bambusu, i patrzył w jasne plamy oświetlonych okien willi.

Czasem widział cień przesuwający się na tle okna... Czasem zdawało mu się, że słyszy srebrzysty śmiech Lu-O.

Ciszę wieczorną przerywał jedynie szum morza, lub odzywający się od czasu do czasu krzyk zbudzonego ptaka.

Wtem w oknie stanęła ona... Lu-O.

Otworzyła okno i wychyliła się na zewnątrz.

Czarne włosy kaskadą spadały jej na ramiona.

W Sin-Szenie zakipiała krew. Zaciśnął pięści, nozdrza poczęły mu drżeć, oczy błyszczały żądzą... jednak czekał jeszcze.

Światła w willi pogasły.

Księżyc wolno przesunął się coraz wyżej i wyżej, ciekawie zaglądając w okna.

Wreszcie Sin-Szen wstał. Dotknął ręką piersi, gdzie miał ukryty nóż, rozejrzał się dokoła i począł biec w stronę willi.

Sylwetka jego jasno oświetlona blaskiem księżyca, rzucała przed sobą brunatny cień.

Wreszcie dopadł ściany domu i przyłgnął do muru.

Stał pod oknem, w którym widział Lu-O. Było otwarte. Wspiął się na palcach, i zajrzał do środka.

Na bogatym tapczanie leżała Ona. Pierś jej falowała miarowo, usta miała rozchylone, oczy przymknięte.

Księżyc wdzierał się do pokoju i oświecał całą jej postać.

Sin-Szen patrzył, a twarz wykrzywiła mu dzika rozkosz.

Podciągnął się na rękach i skoczył do wnętrza.

W tej chwili Lu-O otworzyła oczy i uniosła się na łokciach. Spostrzegłszy Sin-Szena krzyknęła przeraźliwie.

Szeroko rozwartemi oczyma patrzyła na intruza. Twarz jej wykrzywiła śmiertelna trwoga, całe ciało zamarło w bezruchu.

Sin-Szen zbliżył się do niej z dzikim, demonicznym uśmiechem na twarzy.

W tej chwili otwały się drzwi i do pokoju wpadł... Ki-na-czu.

Gdy zobaczył Sin-Szena przy tapczanie swej żony, rzucił się na niego z wściekłością. Lewą ręką chwycił rękę z nożem przeciwnika, prawą starając się dosięgnąć gardła. Sin-Szen bronił się rozpaczliwie.

Obaj padli na ziemię — zazarta walka trwała dalej. Jednak przewaga Ki-na-czu była widoczna. Po chwili w jego posiadaniu znalazł się nóż Sin-Szena.

A Lu-O siedziała skulona na tapczanie i przeżoconymi oczyma patrzyła na walczących.

Wreszcie z ziemi powstał Ki-na-czu i wyczerpany z sił oparł się plecami o ścianę. U jego stóp, w kałuży krwi drgało w przedśmiertnych konwulsjach ciało Sin-Szena. Rękojeść noża sterczała nad jego piersią.

Ki-na-czu podniósł głowę i spojrzał na skuloną na tapczanie Lu-O.

Tak. Teraz zrozumiał jako rolę odgrywała w tej tragedji. Wie, dlaczego Lu-O tak niespokojnymi oczyma patrzyła na niego, gdy Sin-Szen powrócił z dalekich mórz do Lai-Czau. Ach, wtedy zapewniała, że prócz przyjaźni, nic jej z Szin-Szenem nie wiąże.

Zbliżył się do tapczanu i długo patrzył w oczy Lu-O...

Kdt. TADEUSZ BAJDA-SOBOLEWSKI

ZAJĄC I PANNA

Szaro jeszcze było, gdyśmy się z Ludkiem zerwali. Na zegarku — szósta. A więc czas! — Mój Boże, czym się kiedy w Korpusie, na alarm, tak szybko ubierał, jak na polowanie?

Przy śniadaniu pan rotmistrz urągał nam:

— Wstajecie późno i teraz śniadanie łap-cap. Strzelby jeszcze z pewnością nie przygotowane, ładunki...

— Wszystko już jest, tatusiu, tylko jechać — śmiał się Ludek, walcząc w pośpiechu z olbrzymią pajdą chleba.

Ja uwinąłem się szybciej i za chwilę już sam poganiałem Ludka, który znowu nie mógł sobie dać rady, bo jedna z młodszych siostrzyczek wysypała mu ładunki z ładownicy i nasypała cukierków.

— Jadziu, przecież ja do zajęcy nie będę strzelał cukierkami!

— Cha, cha, — śmiał się pan rotmistrz — Jadzia ma rację, że ci cukierków wysypała... Przecież będą panny na polowaniu, a te płóche stworzenia najprędzej można słodyczą ustrzelić...

— Ij, tam, panny — mruczał Ludek, wytrząsając ładownicę.

Wsiedliśmy do sań. Pan rotmistrz zagrzmiął: — Ruszaj!

Konie przysiadły na zadach. Ruszyliśmy.

Staliśmy już na stanowiskach, gdy zajęchały pod las sanki, napełnione po brzegi pannami. Bór zaszumił pobłażliwie. Dziwnym zbiegiem okoliczności pannie Jance dostało się miejsce na prawo odemnie. Aby dać jej do zrozumienia, że jestem cały zajęty polowaniem, zadarłem głowę do góry i ze skupieniem wpatrywałem się w wierzchołek sosny.

Nagle... coś zaszeleściło przedemną. Przyłożyłem strzelbę do oka: jest, idzie, kica, kochane moje złotko, zajączek upragniony, wyśniony, złoty — mierzę — bach!

Najwidoczniej miałem pecha, bo zając przystanął, spojrzał na mnie wzgardliwie, kiwnął lewem uchem i poleciał w prawo, wzdłuż linji.

Ha, trudno. Najwidoczniej nie mam szczęścia do kobiet...

Po miocie zesłiliśmy się na linji, omawiając wyniki. Opowiadałem panu rotmistrzowi o swojej przygodzie:

— Takem go spudłował, panie rotmistrzu, aż mi się go żal zrobiło! Słowo daję, z pewnością nikt mu jeszcze takiego afrontu nie zrobił — płakałem rzewnie.

— Nic, nic — pocieszał mnie pan rotmistrz. Już ma pan jednego z poprzedniego polowania, a teraz niech się pan dobrze pilnuje, to pan też coś ustrzeli.

Pokiwałem głową. Słyszałem wyraźnie, jak Ludek beczelnie bujał do ucha jednej z panien młodszego autoramentu:

— Wiesz, patrzę — idzie. Mierzę — bach! Nic, Nagle patrzę — za nim z lasu wypada pies gończy, który był przy nagonce. Zajac na drzewo. Pies za nim. Zajac z drzewa. Pies za nim. Później obydwie zaczęły latać dokoła drzewa, tak, że nie mogłem rozróżnić, który pies, a który zajac. I tylko dlatego nie mam w tym miocie.

Niedoświadczona dziewczę słuchało tego z głębokim podziwem i uwielbieniem, wpatrując się w Ludka.

W grupie starszych myśliwych rej wodził pan rotmistrz w olbrzymiej batorówce, we futrze, udrapowaniem jak toga. Właśnie udzielił głosu jednemu z panów, który stał na lewo odemnie. Pamiętam doskonale, że strzelał dwa razy do pieńka. Oto, jak wyglądała ta niezwykła przygoda według jego opowiadania:

— Stoję, panie i patrzę: idzie zajac. Poprawiłem binokle — mierzę. On nic. Ja znów mierzę. On znów — nic. Ja — bach! On także nic. Binokle mi spadły w śnieg. Szukam, szukam — a tu, panie — znów zajac. Ja — bach! na ślepo, ale prosto w niego. Zdawało mi się, że się wywrócił. Znalazłem binokle — niema zajaca!

— — — — —
W następnym miocie jednak ustrzeliłem jednego zajaca. Dostał w sam łeb, aż mu oko zbieleło.

W rezultacie wróciliśmy do domu, mając po dwa zajace. Radość to była potężna. Nie mogłem się oprzeć chęci sprawienia figla pozostałym w domu. Wskoczyłem pierwszy do sieni i oświadczyłem grobowym głosem:

— Jeden zajac.

— Kto zabił, kto zabił?!

— Naganiacz kijem. Nie strzelaliśmy ani razu.

Ale mały Leszek, doskonały materiał na detektywa, wziął mi z rąk strzelbę, otworzył i zajrzał do luf:

— No, zaśmiał się podejrziwie, — a dlaczego u pana lufy takie czarne?

Roześmiałem się, rozbrojony. W tej chwili usłyszeliśmy, jak pan rotmistrz liczył wyjmowane ze sań zajace:

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. W porządku.

Radość nieopisana zatrzęsa domem. Stół momentalnie zastawiony, momentalnie opustoszał. Nie masz większej rozkoszy nad myśliwski głód!

— — — — —
Tegoż wieczora wąską, leśną drożynką jechaliśmy na płasy do sąsiedztwa. Płasy to miały być setne. więc jechaliśmy z radością w sercach, parskaniem koni i wzdychaniem Ludka. Księżyc srebrzyście, łagodnie oświecał milczący, biały las, i zdumiony zatrzymywał się nad czeluściami głębokich jarów.

Kiedy wyjechaliśmy z lasu, odrazu ów nastrój

liryczny zniknął: na wprost, na wzgórzu, duży oświetlony dom drgał, tańczył i śpiewał. Widocznie już tańczono...

Zajechaliśmy przed ganek. Na tle zasłon w oknach widać było przesuwające się sylwety tańczących — nie słyszano zupełnie naszych janczarów, tak, że przesunęliśmy się niespostrzeżenie do przedpokoju. Pani rotmistrzowa cicho otworzyła drzwi — weszliśmy. Pewna, bliżej nieokreślona ilość panien poczęła witać się z nami chóralnie, wskutek czego pocałowałem bardzo zresztą sympatycznego wilczura Pirata z całym przejęciem w kosmatą łapę, którą mi sam, szelma, podał.

W sąsiednim salonie przygrywała bardzo swojska orkiestra, której akompanjował gajowy Semko, bijąc w „tarabany“. Byłem tem wszystkiem tak zażenowany, że zaprosiłem do tańca pana domu i spotkawszy się z odmową, postanowiłem odebrać sobie życie, co udaremniła jedna z panien z którą bez namysłu puściłem się w płas. Dopiero po chwili, z nie-małym zdumieniem zauważyłem, że tańczę z moją partnerką z polowania.

— Ależ panno Janko, to niemożliwe!

— Co niemożliwe? A cóż to ma znaczyć?

— Ja... ja przepraszam... to nie ja!!

Zacisnąłem zęby... — „Będę milczał jak grób“ — pomyślałem. Jak można się tak niezręcznie odezwać!:

W tej chwili pani domu ogłosiła przerwę i sprostowano nas do załatwienia się z przekąskami.

Powitałem to z nieukrywaną radością. Zawsze przy jedzeniu odzyskuję pewność siebie. Przy stole omawiano przeważnie dzisiejsze polowanie, również więc rej wodził pan rotmistrz, chwając jednych, urągając drugim. Dostało się i mnie, a jakże.

— A koło pana nie powinno się stawiać nigdy panien na stanowisku — grzmiał pan rotmistrz — bo się zaraz panu dubeltówka zacina i nie chce ognia dawać.

— To może jest dubeltówka winna — broniłem się — może jest tak delikatna, że nie chce panien hukiem wystrzału, czy widokiem krwi przerażać...

Tu chmura panien zawisła nademną, błyskając piorunami groźnych spojrzeń i szumiąc ulewą słów:

— To pan się bał wystrzału! To nie my, tylko mężczyźni! — Przy mnie raz tatuś wystrzelił w lesie, a ja tylko zemdlałam, ale nie płakałam zupełnie!!!

Ze skruszoną miną, szybko jadłem, aby zadusić śmiech, który mnie dławił...

Około drugiej państwo rotmistrzowie odjechali z Ludkiem i Sławkiem, ponieważ Sławek okazywał już zbyt wyraźne zmęczenie. Po mnie miały przyjść konie nad ranem.

Korzystając z ogólnego zamieszania zaprosiłem kogoś do tańca i puściłem się w płas.

— Aa, znów jesteśmy „we dwoje“, panno Janko!

— Szkoda próżnych słów, chłopczyku...

— Czy pani wzięła moje odezwanie się za oświadczyzny? — spytałem groźnie, bardzo groźnie. — Bo ja... nic podobnego... ale skądże!... — dorzuciłem już tak groźnie, że coś okropnego.

Melancholijne spojrzenie odpowiedziało mi: „du-reń”. Na szczęście — orkiestra zamilkła. Dostojny i oziębły jak słup telegraficzny, pożegnałem się ze swoją danserką. I z panią domu. Potem tylnymi

drzwiami, po angielsku — uciekłem. Poszedłem w ciemną noc...

— — — — —
Miałem zamiar inaczej zakończyć tę zlekka głupawą nowelkę. Ale darujcie, koledzy. Zato kto zapragnie, opowiem mu na ucho właściwe zakończenie.

Są rzeczy, którym nawet największy wróg kobiet nie zechciałby uwierzyć...

Kdt. JERZY GIŻYŃSKI

W SEZONIE SZERMIERCZYM

Tegoroczny sezon szermierczy, rozpoczął się meczem na szable w dniu 15. XI. między komp. 5 a 4. Mecz ten wygrała komp. 5 w stosunku zwycięstw 13:3. Na podstawie tego meczu wybrano pięciu zawodników, którzy 29. XI. spotkali się z czołową drużyną Lwowa, Klubem Szermierzy.

Drużyny wystąpiły w składach: Klub Szermierzy — p. p. Friedrich, Kielbusiewicz, Trzeciak, Bachman, i Koenigill rezerwowi.

Korpus Kadetów: kdt. Trzebuchowski, Burbo, Handler, Wołoszowski i Ekkert rezerwowi.

Po przemówieniach p. płk. dypl. Florka, p. inż. Kamieniobrodzkiego i wymianie proporców rozpoczęły się zawody.

Zwyciężył Klub Szermierzy w stosunku zwycięstw 10:6

Wyniki techniczne

- p. Bachman — kdt. Burbo 5:4
- p. Trzeciak — kdt. Wołoszowski 5:4
- p. Kielbusiewicz — kdt. Trzebuchowski 2:5
- p. Friedrich — kdt. Handler 5:1
- p. Trzeciak — kdt. Burbo 5:3
- p. Kielbusiewicz — kdt. Wołoszowski 2:5
- p. Friedrich — kdt. Trzebuchowski 5:1
- p. Bachman — kdt. Handler 2:5
- p. Kielbusiewicz — kdt. Burbo 0:5
- p. Friedrich — kdt. Wołoszowski 5:2

p. Bachman — kdt. Trzebuchowski 5:3

p. Trzeciak — kdt. Handler 5:1

p. Friedrich — kdt. Burbo 5:1

p. Bachman — kdt. Wołoszowski 4:5

p. Trzeciak — kdt. Trzebuchowski 5:2

p. Kielbusiewicz — kdt. Handler 3:5

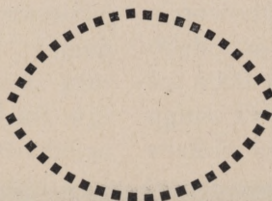
Nie jest to dla nas ujmą, ponieważ spotkaliśmy się z drużyną stojącą o klasę wyżej.

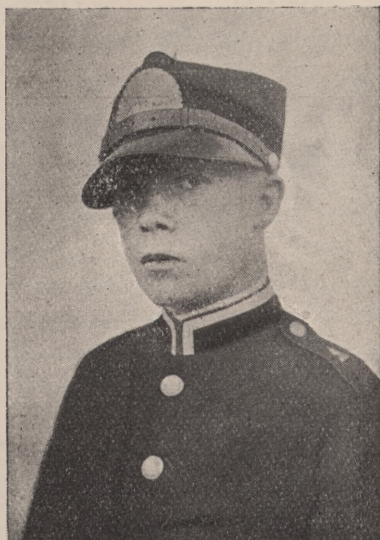
W dniach 30 i 31 stycznia w salach II Sokoła odbyły się zawody o mistrzostwo Lwowa w szabli i florecie.

W zawodach tych wzięli udział również i Kadeci.

We florecie kdt. Wołoszowski zajął miejsce VI. kdt. Trzebuchowski VII i kdt. Burbo VIII. W szabli podzielono zawodników na dwie grupy. W pierwszej startuje kdt. Wołoszowski i kdt. Burbo. Wołoszowski wchodzi do finału i zajmuje VII miejsce. Podkreślić należy, że w grupie tej startowało kilku najlepszych szermierzy Lwowa z p. Friedrichem na czele. W drugiej grupie, startował kdt. Trzebuchowski walczący bardzo ambitnie; mimo to jednak do finału nie wszedł. W tej grupie, walczył również mistrz D. O. K. por. Sozański, który też nie wszedł do finału, co świadczy o wyrównanej klasie szermierzy.

Sukcesy odniesione zawdzięczamy pracy p. dypl. fechtmistrza st. sierż. Pieczyńskiego, któremu składamy tą drogą serdeczne podziękowania.





Nielitościwa śmierć zabrała Cię Tadziu nagle, w pełni rozwoju Twych sił, w pełni kształtowania się Twojej złotej duszy i prawego charakteru.

Patrzyłeś jej śmiało w oczy zdając sobie sprawę, że od nas odchodzisz.

Żal Ci było Twych marzeń o życiu w zaszczytnej służbie oficera Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, o śmierci żołnierskiej w polu, — przy huku dział i świcie kul — dla dobra i chwały Ojczyzny.

Byłeś wzorem dla nas od pierwszej chwili naszego współżycia koleżeńskiego. Cichą, pogodną swą śmiercią dałeś nam po raz ostatni przykład jak godzić się trzeba z wyrokami Najwyższego. Żal chwytła kleszczami za gardło, a wargi szepczą: Rozkaz...

Duch Twój — duch wzorowego kadeta żyje wśród nas.

A kiedy przyjdzie nasza godzina czy w rowie strzeleckim czy na białym szpitalnem łóżku, bądź przy każdym z nas blisko, bliźniutko — dopomóż by na chwilę nawet powieka nie drgnęła, patrząc w tej Nielitościwej Pani Twarz. Chcemy umieć umrzeć tak, jak Ty...

Czołem!



Kdt. JERZY MAZURKIEWICZ

PARĘ SŁÓW O ARTYLERJI

Piechota jest niepodzielną władczynią pola walki, bagnietami swemi zajmuje teren i ogniem wstrzymuje nieprzyjaciela, któryby z kolei chciał ją wyrzucić z zajętych pozycji. Walcząc jedynie swym własnym ruchem i ogniem piechota nie może jednak podołać wszelkim włożonym na nią zadaniom; siła ognia npl zmusza piechotę do żądania pomocy od artylerji, która wspierając „królową broni” swym potężnym ogniem, umożliwia wykonanie zadania bez większych strat.

Artylerja jest typową bronią ognia. Ruch jej jest zasadniczo warunkiem drugorzędnym, ułatwiającym czy też umożliwiającym wykonanie ognia, który z powodu swej giętkości może być prowadzony na względnie szeroki, a dość głęboki pas terenu. Działając na wroga demoralizująco i niszcząco, artylerja w dzisiejszych warunkach walki jest czynnikiem niezbędnym. Stosownie do włożonych na nią zadań dzielimy ją na:

- artylerję bezpośredniego wsparcia,
- „ ogólnego działania,
- „ towarzyszącą i
- „ przeciwlotniczą.

Postaram się w miarę moich wiadomości omówić poszczególne rodzaje tej pięknej i ciekawej, a tak dla wroga groźnej broni.

Artylerja bezpośredniego wsparcia, jak sama nazwa wskazuje, ma za zadanie bezpośrednio wspierać piechotę we wszelkich jej działaniach. W skład jej będzie wchodziła przeważnie art. lekka, (pułki art. lekkiej i dywizjony art. konnej, współdziałające zasadniczo z kawalerją), oraz pewna ilość art. ciężkiej (pułki art. ciężkiej). Pierwsza posiada armaty 75 mm, haubice 100 mm. Działa te mają za zadanie przede wszystkim zwalczanie siły żywej npl (szrapnele) i ostrzeliwanie nieumocnionych baterji npl. Ogień armat o stosunkowo niewielkiej sile, (odłamki granatu 100 m, kulki szrapnelowe pole 25 x 100 m) wywiera jednakże dość silne działanie, haubice strzelając torami stromymi skutecznie zwalczają baterje npl poza zasłonami: jeżeli chodzi o zniszczenie fortyfi-

kacji polowej czy też umocnionych baterji npl wówczas otwiera ogień art. ciężka, posiadająca haubice 155 mm o wielkiej mocy burzącej pocisku (waga granatu 43 kg). W warunkach specjalnych mamy odrębne rodzaje artylerji, n. p. w Karpatach art. górską, na bagniskach Polesia monitory uzbrojone w działa. Art. bezp. wsparcia otwiera ogień na żądanie piechoty (wzgl. kawalerji); przygotowuje natarcie, broni jej ogniem zaporowym, lub też nuży npl ogniem nękającym. Dowódca jej jest podporządkowany woli taktycznej d-cy piechoty, a będąc fachowym doradcą piechura, jest zarazem wykonawcą zadań danych artylerji.

Inaczej się rzecz ma z art. ogólnego działania. Pod względem prowadzenia ognia nie jest ona związana z żadną inną bronią, gdyż celem jej jest głównie ostrzeliwanie głębi uszykowania npl, odwodów, sztabów, węzłów kolejowych, ważnych punktów strategicznych i t. p. W skład art. ogólnego działania wchodzi przeważnie art. ciężka (dalekonośne armaty 105 mm), pewna ilość art. lekkiej i art. najcięższa.

Art. towarzysząca ma za zadanie zwalczać poszczególne drobne a niebezpieczne dla piechoty obiekty, n. p. gniazda karabinów maszynowych, czołgi i t. p. Będą to przeważnie poszczególne działa, umieszczone niedaleko pierwszych linii. Zachodzi tu możliwość strzelania ogniem bezpośrednim, według starej recepty „dziadzia Napoleona”. Art. towarzyszącą stanowić będą: plutony art. piechoty i w razie potrzeby przydzielane, poszczególne działa art. lekkiej.

Zadaniem art. przeciwlotniczej jest zwalczać płatowce npl. Mimo licznych udoskonaleń w tej dziedzinie, datujących się od czasu Wielkiej Wojny, skuteczność jej ognia jest mniejszą niżby się zdawało, z powodu wielkiej szybkości samolotów bojowych, dochodzącej do 100 m/sek. Ogień jej sięga wysokości 6000 m. Używane są działa o wielkiej szybkości ognia, (kilkanaście strzałów na minutę) i niezbyt wielkim kalibrze. Rozróżniamy baterje stałe, pół stałe, (mogące w przeciągu kilkunastu godzin zmienić stanowisko), i ruchome, o pociągu mechanicznym.

Nie wymieniałem tutaj art. morskiej, która posiada zupełnie inny charakter, tak zadań jak i sposobu ich wykonywania. Jest to dział artylerji niemniej może ciekawy i zajmujący jak art. wojska.

Co do aktualnego obecnie zagadnienia motoryzacji artylerji, (działa na gąsienicach lub też pociąg konny zastąpiony traktorami) to w krajach posiada-

jących dobry stan dróg, jest to częściowo możliwem do przeprowadzenia, szczególnie dla art. ciężkiej. W Polsce mamy już zaczątki motoryzacji, ze względu jednak na ogromne, niedostępne dla pojazdów mechanicznych połacie naszego kraju, jeszcze przez długie lata koń pozostawać będzie dominującą jednostką pociągową, zwłaszcza w artylerji lekkiej.

Kdt. MARJUSZ KWIATKOWSKI

AFORYZM

Choć jest kto w świecie sam, jak palec,
Niech sobie żony nie bierze,
Niech sam pcha życia ciężki walec,
Choć jest kto w świecie sam, jak palec.

Kto weźmie choćby skarb, choć kwiat
Ten straci starość cichą
I umrze wcześniej parę lat —
Kto weźmie choćby skarb, choć kwiat.



* * *

Już szaleje wkrąg karnawał,
Cały świat się bawi,
Kadet ma zaś pracy nawał,
Gdy szaleje wkrąg karnawał.
Na to konto, że karnawał
Powinna komenda
Dać przepustek istny nawał,
Na to konto, że karnawał.
Lecz przepustek nie wydają,
Gdyż się uczyć trzeba,
Tak to oni uważają
I przepustek nie wydają.
Kadet ma zaś zawrót głowy,
Od ciągłego kucia,
Wszędzie gwar karnawałowy,
Kadet ma zaś zawrót głowy.

KRONIKA KORPUSU

10—XI. Otwarcie krótkofalowej stacji nadawczej K. K. 1.

15—XI. Zawody szermiercze między komp. 5 a 4.

29—XI. Zawody szermiercze między klubem Szermierczym a Korpusem Kadetów.

13—XII. Staraniem kółka scenicznego komp. 4 wystawiono rewję p. t. „Ostatnie westchnienie przed urlopem“

19—XII. Wyjazd na urlop.

6—I. Powrót z urlopu.

9—I. Wyjazd zespołu dramatycznego i chóru do Borysławia.

10—I. Korpus wziął udział w nabożeństwie w kościele garnizonowym i akademji z okazji 25-lecia sacry biskupiej J. E. ks. biskupa dr. Władysława Bandurskiego.

Po akademji reprezentanci władz udali się do Korpusu Kadetów gdzie wzięli udział w obiedzie galowym.

14—I. Pan Naczelnik Wydz. Szkoln. Śred. Min. W. R. i O. P. Włodzimierz Gałęcki oraz pan wizytator St. Seweryn odbyli wizytację Korpusu.

15—I. Bataljon szkolny oddał honory zwłokom ś. p. kadeta Januszewskiego.

16—I. Alarm. Wręczenie odznaki Korpusu Kadetów Nr. 1 p. Naczelnikowi Gałęckiemu.

17—I. Wyjazd delegacji oficerów i kadetów na pogrzeb Ś. P. kadeta Januszewskiego do Kolbuszowej

29—I. Zakończenie I-szego półrocza szkolnego, oraz wyjazd na 4 dniowy urlop.

2—II. Powrót z urlopu.

6—II. Doroczny bal kadetów.

Piękna śnieżna zima umożliwia każdego czwartku i niedzieli urządzać Kierownictwu Wych. Fiz. wycieczki narciarskie w okolice Lwowa.

20—II. Zawody narciarskie międzykompanijne. Sztafeta 6x1000 metrów. Zwycięża drużyna komp. 5-tej w składzie: kadeci Pokorny, Petecki, Giżyński, Bes, Rihak, Korbel.

24—II. Wyjazd komp. 2-giej i 4-tej na wycieczkę do Sławska.

26—II. Wyjazd komp. 3-ciej i 5-tej do Sławska.

4—III. Imieniny Pana Podpułkownika dyplomowanego Kazimierza Florka. Kompanja 5-ta wręczyła Panu Komendantowi album karykatur kompanji.

10—III. Uroczysta akademja żałobna ku czci ś. p. Ks. biskupa Władysława Bandurskiego.

PROGRAM

UROCZYSTEGO OBCHODU IMIENIN
PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Dnia 18-go III-go — godz. 20-ta: Capstrzyk orkiestry kadeckiej wewnątrz
Korpusu.

Dnia 19-go III-go — godz. 9·45 — wymarsz na defiladę

„ „ „ „ 12·10 — audycja dla młodzieży.

„ „ „ „ 13 — obiad galowy

„ „ „ „ 16 — uroczysta akademja w Teatrze Wielkim.

Jako druga część programu odegrana zostanie sztuka Gozdawy Wiecheckiego:

„Porucznik I-szej Brygady“.

Kierownik literacki :

PROF. DR. WALERJAN KWIATKOWSKI

Redaktor naczelny :

Kdt. ANDRZEJ CZAYKOWSKI

Redaktor odpowiedzialny :

Kdt. TADEUSZ BAYDA-SOBOLEWSKI

Komitet redakcyjny :

Kdt. EDWARD ESSEN

Kdt. EDWARD PIC-DE REPLONGE

Nakładem Korpusu Kadetów Nr. 1.

Tłoczono w Drukarni Urzędniczej, Lwów, Zielona 7. Tel. 91-07.

FRANCISZEK IRZYK

Zakład dla instalacji wodociągów centralnego

::: ogrzewania, urządzeń gazowych i t. d. :::

Warsztaty: Lwów, ul. Tkacka 10—12. Tel. 7-34. Biuro: Lwów, ul. Kopernika 30. Tel. 8-84.

APEL

W dniu 10. b. m., w chwili odprowadzania na miejsce wiecznego spoczynku zwłok ś. p. Ks. Biskupa WŁADYSŁAWA BANDURSKIEGO odbyła się w Korpusie Kadetów uroczysta akademja żałobna, na której zostało wyrażone pragnienie wszystkich kadetów — wniosek rozpoczęcia zbiórki składek na pomnik Zmarłego Kapłana-Żołnierza. Pomnik ten stanąłby we Lwowie, gdzie Ks. Biskup Bandurski rozpoczynał swoją pracę pasterską i patriotyczną.

Stałby się symbolem tej nigdy nie gasnącej łączności duchowej Zmarłego z młodzieżą całej Polski, a z młodzieżą Kadecką w szczególności. Pragnąc jak najszybciej i najlepiej ten piękny projekt zrealizować, wzywamy do współpraey całe społeczeństwo, a szczególnie Kadetów z Korpusu Nr. 2. i Nr. 3., którzy zechcą z pewnością stanąć w szranki i współzawodniczyć z nami w kierunku realizacji projektu.

O listy składek zgłaszać się należy pod adresem: Fundusz budowy pomnika Ks. Biskupa WŁADYSŁAWA BANDURSKIEGO we Lwowie, Komitet Korpusu Kadetów Nr. 1.

KRÓTKOFALOWA STACJA NADAWCZO-ODBIORCZA KORPUSU KADETÓW NR. 1

W ubiegłym roku szkolnym powstała myśl zbudowania stacji nadawczo-odbiorczej w naszym Korpusie, która w szybkim czasie została zrealizowana dzięki silnemu poparciu Pana Komendanta. Stacja została zgłoszona do L. K. K. skąd otrzymała znak nadawczy S P 3 f i i nasłuchowy P L 272. Nadajnik jest typu Harley'a z lampą nadawczą T B 04/10 i z modelacją w układzie Schäffer'a.

Równocześnie ze stacją zostało założone koło radjotechniczne, które przygotowuje odpowiednio wyszkolonych kadetów do obsługi stacji pod względem technicznym. Stacja jest więc obsługiwana jedynie przez kadetów.

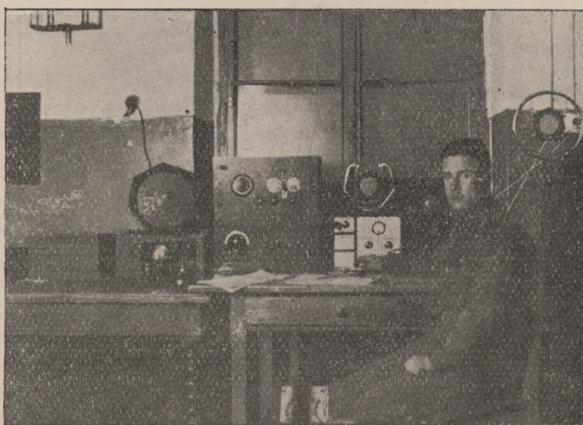
Tak jak dział techniczny i obsługa należy do koła radjotechnicznego tak też dział programowy do koła historyczno-literackiego. Materiał programowy jest różnorodny jak n. p.: odczyty, feljetony, słuchowiska, koncerty; chóru i muzyki i t. d. i t. d.

Audycje nasze mają na celu przede wszystkim

łączność między rodzinami kadetów i przyjaciółmi Korpusu a Korpusem, pozatem zaznajomienie szerszych warstw społeczeństwa o szczytnym zadaniu i z życiem wewnętrznym Korpusu. Prócz tego mamy stałą łączność foniczną i graficzną z krótkofalowcami polskimi i zagranicznymi nie wyłączając innych kontynentów.

Jeżeli chodzi o cele wewnętrzne stacji to ma ona na celu zaznajomienie kadetów ze stroną teoretyczno-praktyczną działu radjowego oraz przez odczyty, deklamacje i t. d. umożliwienie rozwoju myśli samodzielnej, inteligencji, pracy twórczej i przyzwyczajenie przed mikrofonem do szerszego audytorjum.

Z niepozornej więc stacji, która w ubiegłym roku była w stadium wstępnych prób, mamy dziś stację, która pod względem technicznym i programowym na falach krótkich stoi na jednym z pierwszych miejsc w Polsce.



Radjostacja krótko-falowa Korpusu Kadetów Nr. 1

Otrzymaliśmy od Pana Profesora Bętkowskiego pracę p. t. „Z tajemnic życia pszczoł i kwiatów“. Z powodu wielkiej objętości wymienionej pracy zmuszeni jesteśmy odłożyć ją do numeru następnego, który ukaże się w maju b. r. Z tego miejsca składamy Panu Profesorowi podziękowanie za podjęty trud.

Drobne ogłoszenia.

Do sprzedania maszyna amerykańska, która mnoży, dzieli, dodaje, odejmuje, logarytmuje, wskazuje godziny, dni, miesiące, oraz — co będzie jutro na obiad. Zgłoszenia w 5-ej a.

Zgubiony złoty zegarek, pierścionek z brylantem, portfel z większą gotówką — do odebrania pod szyfrą: „Pocziwy Kretyn“ w redakcji.

Piszę za pół darmo: mowy pogrzebowe, elegje, zgorzkniałe wiersze. Zgłoszenia u kdt. Fresena pod: „18-stoletni starzec“.

Tanlo sprzedam swój najnowszy wynalazek: radio sporządzone z guzika i grające bez słuchawek. Zgłoszenia: Skowronker — Kalilowo.

Podrabiam swój własny podpis z ogromną wprawą, za śmiesznie niską cenę. Zgłoszenia w redakcji.

Zapraszamy czytelników Orląt na szereg wieczorów tanecznych przed urlopem. Orkiestra: swojska. Lokal: ściśle zakonspirowany. Strój: poranny.

Odpowiedzi redakcji.

Kdt. Maciek Prós—ski II. komp. — Prosimy o odebranie rękopisu, ponieważ nowelka z powodu swoich rozmiarów nie mogła się zmieścić ani w koszu, ani w piecu.

Kdt. Jerzy Jan Dr—er II. komp. — Dużo zapisanego papieru przyda się nam zawsze. Czekamy.

Kdt. D. N. — Wspomnienia pod tytułem „Sam na sam z flaszka“ — nieaktualne. O wiele aktualniejszy jest drugi utwór p. t. „Oda do młodości“. Żalujemy tylko, że zupełnie identyczny utwór napisał już Mickiewicz.

OD 10-ciu LAT ZNANA Z SOLIDNOŚCI FIRMA:

HURTOWNIA TEKSTYLNA

W NOWYM TAŃSZYM LOKALU
LWÓW -- RYNEK Nr. 30

TUŻ OBOK „BACZEWSKIEGO“

POLECA DETAJLICZNIE JESZCZE TĄNIEJ JAK DOTĄD
SUKNA — WEŁNY — JEDWABIE — PŁÓTNA

Poszukuję zdecydowanego na wszystko współnika w celu założenia pewnego interesu, którego nie mogę tu bliżej objaśnić. Zgłoszenia w „jamie siedmiu ludożerców“ o północy. Strój: kaftan bezpieczeństwa. Hasło: Idee fixe.

Ogłaszam, że walce Straussa są stanowczo lepsze od moich. Barytonio.

Zmiany nazwisk! Bardzo piękne nazwiska hiszpańskie o egzotycznym posmaku — kombinuję. Zgłoszenia: Sargofaggo — Tettamandi — Cretiniani Głupkowato — Grafomański.

Agencja Prasowa Orląt podaje, co następuje: Obecnie zostały opracowane tytuły dla kadetów starszych kompanij. A mianowicie: 1 złoty pasek — kadet adjutant. 2 złote paski — kadet dyletant. 3 złote paski — kadet symulant. Dodajemy również, że wolno obecnie nosić półsłonce na łańcuszku na lewym ramieniu, a także wyszyte na kołnierzu, oraz na bieliźnie i na noskach butów. (Projekt podany przez jednego z kadetów. Składamy mu tą drogą serdeczne gratulacje).

Kdt. Mo. — Dziękujemy za fachowe rady literackie. Co zaś do prowadzenia kasy redakcyjnej — to powierzyliśmy już tę funkcję komu innemu.

Kdt. L. K. — Stało się nieszczęście. Nowelkę p. t. „Kotlet wieprzowy“ zjadł przez pomyłkę redaktor odpowiedzialny. Bardzo przepraszamy i prosimy o mniej kulinarne tytuły dla następnych utworów.

Kdt. S—ski. — Nie mamy odpowiedzi.

Ukazał się najnowszy, trzeci numer „KUŹNI MŁODYCH“, czasopisma „młodzieży dla młodzieży“, wychodzącego od niedawna w Warszawie. Nadzwyczaj bogata treść, piękna szata zewnętrzna, oraz taniość pisma rokuja mu olbrzymie powodzenie wśród szerokich rzesz młodzieży szkolnej.

I jeszcze jedna, b. poważna zaleta — to oryginalne, niespotykane dotąd w pismach dla młodzieży rozwiązanie kwestji współpracy: pisywać w niem mogą wszyscy, czujący się na siłach. Z tego miejsca wyrażamy głębokie zadowolenie z powodu ukazania się nowego pisma i składamy Kolegom-Redaktorom serdeczne życzenia pomyślnego rozwoju.

REDAKCJA „ORLĄT“.

F. M. ZŁOTNICKI

we Lwowie — Pasaż Hausmana l. 8.

Wytwórnia i skład pomocy naukowych

dostarcza:

przyrządy, przybory, okazy, modele, obrazy
do **Fizyki — Chemji — Przyrody**

MAPY

GLOBUSY

MIKROSKOPY

Rok założenia 1893.

Telefon 56-29.

Sprzedaż nabiału

J. MEHR

Lwów

ulica Kopernika l. 37.

„Sarmacja”

wł. firmy WŁADYSŁAW SZULC

Magazyn papieru, ksiąg handlowych, przyborów szkolnych i kancelaryjnych

Lwów, ul. Akademicka 8.

Telefon 48-74.

ZAKŁAD GAZOWY MIEJSKI

we Lwowie, ul. Gazowa 18. Tel. 4-92 i 43.

Dostarcza:

Gaz Miejski do wszystkich celów.
Gaz Ziemny do centr. ogrzew. i przem.
Koks do opałów centr. ogrzew. i kuźni.
Smolę preparowaną do dachów i konserwacji drzewa.

Amoniak chemicznie czysty dla aptek.
Amoniak skroplony dla chłodzi.

Wykonuje Instalacje Gazowe
na dogodnie spłaty.

K. S. Jakubowski

Spółka z ogr. odp.

KSIĘGARNIA NAKŁADOWA i DRUKARNIA

Lwów, ul. Piekarska l. 11.

Zakład art.-fotograficzny

L. Wieleżyński

Lwów, ul. Piekarska 1 c.

Telefon 27-32.

Oskar BLITZ

Handel skór i dodatków szewskich

Lwów

ul. Zamarstynowska l. 2.

BRANKA



FABRYKA CUKRÓW, CZEKOLADY I KAKAO

SPÓŁKA AKCYJNA WE LWOWIE



poleca swoje wyroby
W ROKU JUBILEUSZOWYM 1882-1932.

Kazimierz SKIBIŃSKI

POLECA NAJTANIEJ WŁASNEGO WYROBU:

kołdry, materace, koce, poduszki,
wkłady sprężynowe i druciane,
łóżka żelazne, sienniki, prześcieradła,
poszewki, dywany, portjery, firanki,
chodniki, oraz

PRZERABIA WSZELKĄ POŚCIEL W JEDNYM DNIU.

WE LWOWIE, KOPERNIKA 4.
Gmach Towarzystwa Kredytowego.

ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE J A N Ó W

Spółka z ogran. odpowiedzialn.

w Janowie obok Lwowa.

Dyrekcja: Lwów, Piłsudskiego 3. Tel. 7-32.

Dostarczają ze swych eksploatacji leśnych
wszelkie materiały tarte z drzewa sosnowego,
oraz dębowego, jakoteż wykonują wszelkie
roboty w zakresie stolarstwa wchodzące.

LWOWSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE BROWARÓW

POLECA:

Piwo eksportowe

Bawarskie

Porter

i Imperjal.

Henryk FISCH

Skład materiałów drzewn.

Lwów, ul. Gródecka I. 40.

Filja: ul. Gródecka I. 37.

Telef. 24-41.

Telef. 24-41.

Pracownia Czapek
wojskowych, stud. i kadeckich.

D. Weis

Lwów
ulica Czackiego liczba 8.

M a ł y **EPISKOP** „Pro F”
C. REICHERTA

wyświetla ostro i nadzwyczaj wy-
raźnie ryciny, druki, rysunki i t.p.

NIEZBĘDNY PRZY WYKŁADACH!

Demonstruje

JULJAN TREPCZYŃSKI

(zastępca Zakładów optycznych C. Reichert we Wiedniu)

Lwów, ul. Dominikańska I. 9. Telef. 21-89.

OGNIE SZTUCZNE

ogrodowe, bengalskie, bezdymne, pokoj.,

Petardy do ćwiczeń polow., świece dymne

P O L E C A :

Fabryka Ognia Sztucznych

Kazimierza Szatana

LWÓW 20. GALLA 7.

Żądać ofert i cenników.

Już wyszedł

Już wyszedł

TOMIK POEZYJ

Kdt. Tadeusza B. Sobolewskiego

p. t.

„NIESAMOWITY PROFIL”

Cena 50 gr.

Do nabycia w Drukarni Urzędniczej, Lwów, Zielona 7

oraz u autora

w Korpusie Kadetów Nr. 1. kompanja 5-ta.

Laboratoryjne artykuły, środki naukowe, aparaty i narzędzia chemiczne, lekarskie i fizyczne, pomoce szkolne, **Termometry**, **Areometry**, **Polarymetry**, **Mikroskopy**, termostaty, suszarki, wagi analityczne, chemikalja i t. d.

poleca

Dom Handlowy

Adolf Pfützner i Synowie

Lwów, ul. Słowackiego 4 (naprzeciw Gł. Poczty)

TELEFON 20-75.

TELEFON 20-75.

Rok zał. 1862.

Rok zał. 1862.

Fr. M. Tatarzyńskiej

przedtem **IGNACY ŁOKOCZ**

Sklep i Pracownia Szczotkarska

Lwów, ulica Szajnochy 3.

CZAPKI

PASY

SZABLE

wszelkie artykuły umundurowania oraz galanterję

poleca

po cenach najniższych

Labiner i Umschweif

Lwów, Sykstuska 12. — Telefon 75-26.

Uwaga na liczbę domu!

Uwaga na liczbę domu!

MODNE TOWARY BŁAWATNE DLA PAŃ

Sukna męskie

STACHIEWICZ i ABRYROWSKI

Lwów, Rynek -- Trybunalska.

TAPCZANY

oraz wiele ciekawych

nowości w tym interesie,

P O L E C A — —

Leon Matwijowski

Lwów, Chorążczyzny 8.

Hurtownie ! MAGAZYN SPORTOWY Detalicznie !

JAKÓBA ROSENMANA

LWÓW, AKADEMICKA 26. TELEFON 19-61

poleca po cenach konkurencyjnych:

na sezon letni:

rowery krajowe i zagraniczne, wszelkie części składowe do tychże. Rakiety krajowe i zagraniczne w różnych cenach, piłki tenisowe, meszty i t. p. Meczówki i wszelkie przybory do sportu footballowego.

na seson zimowy:

narty, sanki, łyżwy, buty narciarskie i łyżwiarskie, jakoteż wszelkie artykuły do sportów zimowych.

Własny warsztat reperacyjny.

**Pierwszorzędna Lwowska
Wytwórnia Wędlin**

oraz wyrąb mięsa wszelkiego gatunku

Kazimierz Linttner

Lwów, Rynek 9.

Filja ul. Kochanowskiego 11 a.

Piotr Mikolasch i Ska

Hurtowny i detaliczny skład apteczny, skład i wytwórnia farb, lakierów i kitu, skład perfumerji.

Lwów, Pasaż Mikolascha

Tel. 26-28 i 4-89.

